



Steven Harrison w *Chopinie*

© J. Mularzyński

Steven Harrison - śpiewałem na sześciu kontynentach

Niedawno wrócił Pan z Azji?

Śpiewałem *Rigoletta* w Australii i wracając zatrzymałem się w Singapurze. To bardzo długa podróż, więc chciałem zrobić przerwę w 22-godzinnym locie. Byłem bardzo szczęśliwy i zaskoczony, widząc w Singapurze pomnik Chopina. Piękny pomnik, który znajduje się w tamtejszych narodowych ogrodach botanicznych. Na Nowy Rok wróciłem do Azji i zagrałem noworoczny koncert na Tajwanie, razem z Narodową Orkiestrą Symfoniczną, którą dyrygował Guenter Herbig. Graliśmy IX Symfonię Beethovena.

To nie był Pana pierwszy pobyt na Tajwanie?

Byłem tam po raz czwarty. Śpiewałem *Cyganerię*, *Madame Butterfly* i *Normę*.

Wiem, że współcześni śpiewacy są także podróżnikami, co jest koniecznością w tym zawodzie, ale wśród wszystkich śpiewających podróżników Pan wydaje się być kimś w rodzaju Marco Polo. Na ilu kontynentach był Pan do tej pory?

Byłem na sześciu kontynentach, z czego jestem dumny. Jedynym kontynentem, na którym nie śpiewałem, jest Antarktyda i ponieważ nie ma tam opery, nie sądzę, żebym miał okazję. Mógłbym wybrać się na ekspedycję dla własnej przyjemności. Do tej pory śpiewałem w Afryce, Ameryce Południowej, Australii (to na półkuli południowej) i w Ameryce Północnej, Azji, Europie, na półkuli północnej.

Dokąd jeździ Pan z największą przyjemnością? Do Azji, do Europy?

Szczerze? Patrzę Panu prosto w oczy, więc nie kłamię. Najchętniej przyjeżdżam do Wrocławia. Absolutnie uwielbiam Wrocław i każdy, kto mnie zna, powie, że to prawda.

Czy to dlatego, że ma Pan polskie korzenie (przodkowie Stevena Harrisona przybyli do Stanów w wieku XIX, a ich polskie nazwisko to Chodnicki – przyp. red.)?

Czuję się w pewien sposób bardzo związany z tą częścią świata, ale myślę, że powodów mam więcej. Wrocław już na pierwszy rzut oka jest absolutnie oszałamiającym, pięknym miastem. Ludzie są wyjątkowo ciepłi, skromni, bardzo uprzejmi, mili, mają bardzo dobry gust jeśli chodzi o jedzenie. Wszyscy tu w operze znają mnie z tego, że każdego dnia przychodzę i mówię, w jakiej restauracji właśnie byłem. Wasza narodowa kuchnia jest wyjątkowo autentyczna. Odwiedziłem wiele krajów, można mnie nazwać ekspertem w tej materii. Uwielbiam wasze pomniki, jak ten naprzeciw wrocławskiego Muzeum Narodowego. Za każdym razem, gdy na niego patrzę, czuję się poruszony. Właściwie wszystko, co Wrocław ma do zaoferowania, sprawia, że to oszałamiające miasto.



Steven Harrison w *Chopinie*

© J. Mulcahy

Czym opera i jej widzowie różnią się w różnych krajach?

W niektórych krajach publiczność jest bardziej, chciałbym powiedzieć, werbalna, ale nie jest to do końca właściwe słowo. Ludzie bywają bardziej skłonni do demonstrowania pewnych reakcji niż inni.

Jak np. Włosi?

Tak, np. Włosi. Czasem, w trakcie występu zastanawiam się, co publiczność czuje lub myśli, jeśli nie demonstruje swoich odczuć, jeśli nie bije braw, nie krzyczy w trakcie występu, nie pokazuje, czy jej się podoba, czy nie. Z mojego doświadczenia wynika, że czasami energia i intensywność są tak napięte, iż nawet jeśli słychać spadającą szpilkę, żadnych oklasków, żadnej reakcji, na końcu można otrzymać największe owacje z jakimi kiedykolwiek człowiek miał okazję się zetknąć. Dla mnie osobiście, jedyne, na co mogę liczyć ze strony publiczności, to właśnie oklaski, czy jest ich dużo, czy nie. Tak naprawdę jednak nigdy do końca nie wiadomo, jak się zostało przyjętym.

Pana szczególnie dobrze przyjmuje się we Francji i w Niemczech. Pana Werter jest bardzo wysoko oceniany. My słyszeliśmy Samsona w Pana wykonaniu, które wciąż dobrze pamiętamy. Czy francuski repertuar jest także Pana ulubionym?

Kiedy uczę się nowej roli, to właśnie ona staje się moją ulubioną. Teraz Chopin. Ale





Steven Harrison w Samsonie i Dalila

9
M
u
l
t
a
r
y
u
s
k
i

patrzając na te ok. 35 ról, które zagrałem, bez wątpienia Werter jest wyjątkowy. Prawdopodobnie to moja ulubiona opera. W znacznym stopniu identyfikuję się z postacią. Niesamowite, że sposób w jaki opera *Chopin* została skonstruowana, bardzo przypomina *Wertera*. To opera w czterech aktach, w pierwszym mówi o naturze, w drugim o miłości, w trzecim o bólu i w czwartym o śmierci. Bardzo powierzchownie mówiąc, tak samo ułożono *Wertera*. Muzyka w *Chopinie* jest bardzo romantyczna, podobnie jak muzyka Masseneta. Dla mnie obie te opery łączy wiele podobieństw. Rzeczywiście, jestem kojarzony z francuskim, dramatycznym repertuarem, z *Trojanami*, *Faustem*, *Carmen*. Uwielbiam taki repertuar.

Śpiew to teraz Pana główne muzyczne zajęcie, ale najpierw był fortepian?

Tak.

Miał Pan 5 lat?

Miałem około 5 lat, gdy zacząłem brzdąkać po klawiszach. Moja starsza siostra uczyła się gry na fortepianie, nie pamiętam dokładnie, jak to było. Rodzice opowiadają różne historie, także moja babcia. Każde z nich sobie przypisuje moje początki. Każde z nich mówi, iż inni uważali, że byłem za młody, aby grać, a potem zaprzeczają, twierdzą, że chcieli, bym się uczył. Więc tak naprawdę nie wiem, kto jest za to odpowiedzialny. Może tak naprawdę to ja sam. W każdym razie przejawiałem zainteresowanie tym zajęciem i w wieku 5, 6 lat zacząłem grać.



Steven Harrison w *Samsonie i Dalila*



Steven Harrison w *Samsonie i Dalila*

Uczyłem się na studiach, kiedy miałem około 22 lat, ukończyłem je z dyplomem pianisty.

Był jeszcze obój?

Kiedy byliśmy w czwartej klasie, w wieku około 9 lat, dano nam możliwość gry na instrumencie orkiestrowym. Wtedy zobaczyłem obój, o którym co nieco słyszałem wcześniej. Zawsze cieszyło mnie zgłębianie rzeczy nie do końca znanych. Znałem flet, na którym grała moja siostra, znałem klarnet, saksofon i trąbkę, a obój wydawał mi się intrygujący. Kiedy go usłyszałem, bardzo polubiłem jego melancholijny, unikatowy dźwięk. Zacząłem się więc uczyć gry na oboju i szło mi świetnie, mój nauczyciel twierdził, że byłem jak ryba w wodzie. Jednak miałem kłopot ze stroikiem, stanowiło to dla mnie spory problem. Ten ostatni moment nigdy nie wychodził, więc pogodziłem się z faktem, że raczej nie zostanę oboistą, chociaż wiele radości sprawiała mi gra.

Jak to się stało, że zajął się Pan muzyką wokalną?

Jako nastolatek nigdy nie mogłem skoncentrować się na tyle, żeby ćwiczyć np. osiem godzin każdego dnia, co młody pianista musi robić, aby zostać koncertującym artystą. Zawsze chciałem być na scenie i zawsze chciałem być aktorem. Kiedy byłem młody, marzyłem, by występować w filmach. Kiedy oglądałem operę w telewizji, podobała mi się, bo było w niej tyle emocji, pasji, romansu, muzyka wydawała się niezwykle piękna. Potem, kiedy poszedłem do szkoły średniej, zacząłem brać udział w musicalach, w których musiałem śpiewać, i tak odkryłem swój głos. W college'u brałem lekcje i wszystko się poukładało. Postanowiłem ubiegać się o staż w operze w Santa Fe, przyjęli mnie i gdy skończyło się lato, zadebiutowałem w nowojorskiej operze, śpiewając *Cyganerię*. Nie miałem żadnego doświadczenia, ale mój głos przyciągnął uwagę i tak to się potoczyło.

W operze Oreficego może Pan połączyć śpiew z grą na fortepianie. Ma Pan swój ulubiony utwór?

Nie, za każdym razem, kiedy myślę, że wybrałem swój ulubiony, przychodzi mi do głowy inny, który podoba mi się tak samo. One wszystkie są piękne. Nawet te małe preludia, te króciutkie fragmenty, małe klejnoty. Niektóre są wprost są cudowne, idealne. Albo etiudy... Miały za zadanie wzmocnić technikę, ale dziś istnieją indywidualnie jako skończone dzieła.

Co Pan robi po premierze Chopina?

Wybieram się do Nowego Jorku, wracam do nowojorskiej opery, gdzie zaśpiewam Pinkertona w *Madame Butterfly*.



Grzegorz Chojnowski
GrzegorzChojnowski@prow.pl

(współpraca Joanna Hardukiewicz)